Rozmaitości

Dnia 15. grudnia | Nr 50. | 1838. roku.

POEZYJA.

POTĘGA MYŚLI.

Myśli! ogniste szczytnych natchnień dziecię,
Wyższéj natury nieśmiertelny kwiecie,
Iskro duszy méj ogniska;
O jakżeś w twoim wysoka polocie,
Wyższaś nad słońca, nad tych światów krocie,
Wyższa nad cudów zjawiska!

Gdzież nie dosięże twa dzielność tajemna?
Granicą twoją nieskończoność ciemna;
Tobąto człowiek znikomy
Podbił tę ziemię, morza upokorzył,
Zuchwałą drogę w powietrzu roztworzył,
I burzom wydarł ich gromy.

Tobąto Kolomb za morza naglony,
Jak gdyby wielkie przeczuł Wasyngtony,
Biegł na burze, śmierć gotowy —
Tobą przesięgał wód nieznanych tonie,
I nim go ujrzał, jużeś w jego łonie
Zgadła, stworzyła świat nowy.

Przez ciebie grecki wieszcz zbudował sobie
Ów wielki posąg na Achilla grobie,
Trzydzieści wieków go wspiéra;
I gdyby zginął ród Helenów cały,
I nawet dzieje zapomnieć go miały,
Ożyłby w sławie Homera.

Myśli! niezgłębny i bezkresny świecie!
Tyś orłem w mędrcu, tyś burzą w poecie,
Tyś prawdziwém słońcem ziemi.
Ty wszystkie ludy, wszystkie wieki bratasz,
Jak łuk ognisty noc czasów przelatasz,
I łączysz przeszłe z przyszłemi.

Wzbił się Kopernik nad zakres spojrzenia,
Zdziéra zasłonę z tajemnic stworzenia,
I światów porządek kryśli.
Możeż być większy tryumf dla człowieka,
Boga swojego układów docieka,
I co Bóg myślał, to myśli.

I któż więc jeszcze tak zuchwałym będzie,
By cię chciał w twoim wstrzymywać zapędzie,
Ciebie swemi gromić kary?
Czyż go nie zrazi téj walki daremność,
W któréj uległa tylowieczna ciemność,
I wszystkie dotąd Omary?

Łamie się stałość i hart cnoty kruszy,
Tysiąckroć padła sama wielkość duszy,
Zgiął się człowiek, świat ukorzył;
Ale ty myśli ugiąć się niezdolna,
Tyś jedna zawsze tak czysta i wolna,
Jak kiedy Bóg cię utworzył. *M.*

(Tyg. Pozn.)

BAZYLISZEK.

Ze starego rękopisma.

Między osobliwościami naturalnemi w Polszcze, kładę tu historyją o bazyliszku w Warszawie r. 1584, dowodząc, iż bazyliszek rodzi się z jaja długoletniego kura, czyli koguta, zniesionego:

»W Warszáwie r. 1584 trafiło śię, iż nieiakiego Macheropego synak, y drugiego sąmśiada coreczka, w piąciu oboie lećiech, zwykli byli z inszemi na rekreácyi swáwolować, kryiąc śię dlá igrzyska, gdzie śię im trafiło, iáko dźieći, żeby iedno drugiego szukało. Była niedáleko tego mieysca, gdzie igráli, stárá piwnica, przed trzydźiestą lát pogorzałego budynku zdezelowána, do ktorey przez wpoł zgniłe grádusy wchodźić ieszcze mogli; á do tey, gdy śię oboie dźieci wpuścili, ná ostátnim gradusie polegli i zkonáli.

Gdy czás wieczerzy przyszedł, matki każda o swoiém dźiećięciu pytáła śię, áni kto wiedźiáł, gdzieby śię znáydowáły; przeto żona Macheropego babkę posłáła szukać, ktora długo inwestyguiąc i troskliwie pytaiąc śię, weszłá

w owę piwnicę ze świátłem, patrząc ieżeli tám powpadáli, y tám znalazła ich na ostatnim gradusie leżących. Obaczywszy, zawołała do drugich: »Oto one leżą!« a rozumieiąc, że posnęły, głośno woła po imieniu ná nich. Lecz nie mogąc się ich głosem dobudzić, sáma do nich zeszła, spodziewaiąc się, że ich rękami ze snu oczući; aż ná tych miast stáruszká między dziećmi trupem padła.

A gdy przez długi czás owey stáruszki y z dziećmi widać nie było do domu, wziąwszy mátka i z drugą służebne, poszły ná toż mieysce, gdzie igrać były zwykły, szukać, a iedna ze służebnych czém prędzey ze świecą wbiegłszy w piwnicę, z daleká postrzegła, iż wszyscy leżą, lecz wołáiąc na nich z imienia, żadne się nie odezwało; czém przestrászone, płákać i lámentować strasznie poczęły.

Stała się rzecz publiczna, gdy wieść o tym gruchnęła po całém mieście; záczém radę uczyniwszy támeczni obywatele, rozkazáli trupów powyciągáć osękami, iakiemi ognie rozrywáć zwykli. A te wyćiągnione, zdęte iak bęben były, wargi i ięzyk ponabrzmiewáły, kolor w nich pośiniáły, oczy na wierzch wysadzone ná pół iáiá kurzego.

Przybył na to widowisko smutne niektory z Woiewodów y Archiáter królewski, imieniem Benedykt Schary; a tego zdanie było, iż w owey piwnicy musi bydź iaka bestyá ná kształt smoka, zarážaiąca, lub skorumpowane w piwnicy powietrze, które nie mogąc znieść delikátna nátura ludzka, ná tych miast umorzyła ich. Może także bydź, mówi, iż tám mà swoie mieysce bazyliszek, o ktorym powiadaią Naturalistowie, iż się lęgnie z iáiá stárego kurá, a wyśiadaią go żaby wielkie bufony; którego taka iest wirulencya, iż kogo tylko obáczy, nágle ten umiera.

A zatym pytámy, iakąby tego racyą wyprobować można? odpowiedział, iż potrzeba kogo do piwnicy destynować, wprzód go cáłego wkoło źwierćiádłami otoczywszy; bazyliszek álbowiem w źwierćiádle iak rychło tylko siebie samego obaczy, ná tych miast zdycha.

Było tedy náowczas dwóch w więzieniu dekretowanych, ktorych za trzy dni tracić miano; ieden Polak, a drugi Szlęzak Jan Liwrero. A tym kondycya podana iest, iż ieżeliby z nich ktory wpuśćił śię do piwnicy y nadybáwszy smoka zaráźliwego, zabił go, będzie wolnym od śmierći. Przyiął tę kondycyą zaraz Jan wyrážony; záczém w grubą skorę cáły obleczony, ná oczy dla patrzenia okuláry wpráwione maiący, ták żeby jád nie przechodźił, oprócz tego, ze wszystkich stron i boków źwierćiadła ná nim przyprawne były. Wziąwszy tedy w iednę rękę ostre y długie widły, w drugę pochodnię zapálnę, wpuśćił się do owey piwnicy, pátrzący na to ze dwa tyśiące ludźi.

Gdy tedy przez całą godzinę wszystkie piwniczne kąty y wszystkie szparuny lustrował y rewidował, ani węża żadnego, ani nic podobnego znaleźć nie mógł. Żeby mu tedy drugą pochodnią rzucono, zawołał; powiedaiąc, iż z tey piwnicy ćiągnie śię druga, ale iest rumem zawálona, przez ktory do niey prześć nie można, aż mu odrzućić trzeba.

Gdy tedy záczyna pracować około odwálania drugiey piwnicy, spoyrzáwszy ná bok, zamiast długo szukáney bestyi, na kształt kury w dźiurze już zdechłey postrzegł leżące dziwowisko. Gdy tedy począł opowiedać, wołaiąc głośno na tych, ktorzy na dworze stali: Archiater upomniał, żeby to, co iest ná kształt kury nie brał w rękę, ale na widłach do nich wyniosł; co zaraz przy cáłey ludzi kongregacyi uczynił.

Archiáter bestyą obaczywszy, bazyliszkiem ią zaraz bydź nazwał. Wielkość iey, iak średniey kury, głową podobny do kura indyiskiego; maiąca czub ná wierzchu ná kształt korony, częśćią żółtym, częśćią niebieskim kolorem nakrapianą; grzbiet miał wiele makułami upstrzony, oczy ná kształt bufona, szyię pstrą rożnemi kolorami, z których naywięcey zieleniejących śię i żołtych było; takiemisz kolorami skrzydła z wierzchu upstrzone były, a pod skrzydłami cały był żołty y pod brzuchem, gdzie iednak żołto błękitne, zielone y dźiwne kolory insze znaydowały śię. Nogi miał obdłużne, koloru cytrynowego i przed tymi na przodzie y w tyle dwie insze nogi, istotne bufona wyrosłe, od pierwszych krotsze, wychodziły; y ogon z pierza w gorę zakrzywiony iak u koguta, pstrocinami po wierzchu takiemi iak śię na grzbiećie wyraziły, spodem żołty, a po końcach do koloru bufona podobny.

Wielkie było dziwowisko i przypatrywanie. Jan, już wolen śmierći, y na widłach bazy-

liszka do gory podnoszący, y okulary y źwierćiadła ná sobie maiący, szedł przodem, a za nim tysiąc ludu pozbieżanego, jakby ná processyi.«

POGADANKA
W KORDYGARDZIE.

Dwa dni siedzieć w areszcie zato, żem wstąpił do szynkowni naprzeciwko i wypił śklankę wina! Ten gołowąsy sierzant jest tyranem! Ale poczekaj, niechno kiedy przyjdzie pójść na wojnę, wypłacę ja mu za to! Długo mię on popamięta! Co się odwlecze, to nie uciecze.« To rzekłszy w dobitném, prowansalskiém narzeczu Bernard, nowego zaciągu z r. 1829 żołniérz, wszedł do kordygardy dnia 15. grudnia 1830 r. Żołniérze znajdujący się w kordygardzie, zaczęli sobie z niego żartować, a Bernard tém bardziéj jeszcze dąsał się i odgrażał na podoficéra, który w téj chwili nie był obecnym.

Gdy tak gniewny wszedł do izby, Riquet, stary żołniérz z czasów cesarstwa, okryty bliźnami, osmalonéj twarzy, surowego wejrzenia, mający trzy szewrony, jako znaki wieloletnéj służby na ramieniu, i zaszczytną orderową wstążkę na piersiach, usłyszawszy tę pogróżkę, podniósł zwolna głowę do góry i nie rzekłszy ani słowa, spojrzał z pogardą na Bernarda, ale wkrótce już mu i cierpliwości nie stało; oburzony, pomusnął kilkakrotnie swoje siwe wąsy ręką, u któréj już dwóch palców nie było, i obróciwszy się z gniewem do młodego żołniérza, rzekł głosem poważnym, gadułom właściwym: »Rekrucie, jesteś zarozumiałym i krnąbrnym! Gdybyśty był choć jednę odbył wyprawę wojenną, inaczéjbyś teraz śpiéwał.«

»Przestańmy o tém, mój ojcze,« odrzekł Prowansalin. »To się pokaże. Wiém ja, co mówię.«

»A ja ci powiadam, że wcale nie wiész. Ja ci powiadam, że na wojnie prawdziwy żołniérz zapomina o wszelkiéj kłótni z koszar, o wszelkiéj zawziętości z kordygardy i nie myśli o niczém, jak tylko o sławie i nieprzyjacielu. A na dowod tego powiém ci, że ja, który tu do ciebie mówię, ocaliłem życie mojemu kapitanowi w Rossyi, chociaż mię on w Berlinie na pietnaście dni do kordygardy wsadził; w Berlinie, rozumiész ty to rekrucie (tak nazywać młodych zaciężnych nie wolno było tylko staremu Riquetowi) w Berlinie, królewskiém stołeczném mieście, dokąd po bitwie z pod Ejlau weszliśmy z Napoleonem jako zwycięzcy.«

Nazwisko cesarza Napoleona sprawiło elektryczne wrażenie na słuchaczach starego gaduły. Wszyscy zwrócili na niego z ciekawością swoje oczy i wszyscy w jednymże czasie wykrzyknęli z uniesieniem:

»Co? ty widziałeś cesarza?«

»Widziałem, moje dzieci, i mówiłem z nim ot tak, jak tu z wami mówię,« odrzekł stary żołniérz z niejaką dumą i zaczął sobie z ukontentowaniem pokręcać wąsy.

Poczém, gdy go ciekawi towarzysze z największém uszanowaniem w koło obstąpili, nałożył sobie fajkę tytuniu z kabżucha swego sąsiada, i tak daléj swoję rzecz prowadził:

»Działo się to w Rossyi, dnia 6. listopada, zaraz po pożarze, który Wiazmę schłonął. Mróz był tak wielki i tak iskrzący, jakiego w żadnym innym kraju na całym świecie nié ma! Myśmy się rejterowali, milijon kartaczów! ale nie przed Rossyjanami, broń Boże! ci zawsze w oddaleniu i z uszanowaniem postępowali za nami, lecz przed iskrzącym się mrozem, tym jedynym, diabelskim nieprzyjacielem, którego Francuz acz waleczny, przezwyciężyć nie może. Od dni kilku mówiono nam, że się zbliżamy do Smoleńska, że tam ogrzejemy zdrętwiałe członki nasze, że otrzymamy po jednéj porcyi chleba na dwóch żołniérzy i po parze trzewików! Ale gdzie tam! Smoleńsk był dla nas ziemią obiecaną, myśmy tam nie przybyli. Co chwila napastowały nasz pochód snujące się chmury Kozaków, ta szarańca trapiąca! musieliśmy walczyć i walczyć, a zawsze o próżnym żołądku; ale milijon kartaczów! znacież wy, moje dzieci francuzkiego żołniérza? milijon kartaczów! ten, skoro proch powącha, już głodu nie czuje! Tak szliśmy o głodzie, albo raczéj brnęliśmy w śniegu sześć godzin bez najmniejszego odpoczynku; albowiem wiadomo nam było, że kogo tylko chętka zebrała położyć się i zdrzymać dla odpoczynku, ten już się na tym świecie nigdy nie obudził! Ostry wiatr siekł nasze twarze i bił nam tumanami śniegu w oczy, a co krok utykaliśmy na trupy spół-

towarzyszów naszych z głodu i zimna pòmarłych! Zwyczajna wesołość nasza ustała, nikt nie śpiewał w tym pochodzie, ustały wszelkie żarty pomiędzy żołnierzami, a nawet starzy, zahartowani szli w milczeniu i zadumani. Cała kolumna była głuchą i niemą. Ktoby nas tak był widział, rzekłby raczéj, że to jest bractwo trapistów, które pielgrzymkę odbywa, nie zaś wojsko francuzkie na wojennéj wyprawie. Kapitan mój szedł przede mną, ale był niezmiernie blady, chwiał się za każdym krokiem, oko jego zgasło, a usta posiniały. Stara chustka, którą sobie nogi obwinął, wyglądała z obówia krwią zbroczona. Widziałem, iż prawie co chwila zataczał się, jak gdyby był pijanym; zostawał się zawsze o kilka kroków w tyle, poczém znowu z wielkiém natężeniem doganiał naszéj kolumny. Razem zatrzymał się znowu i zwróciwszy ku mnie smutne spojrzenie, padł na ziemię. Jakkolwiek jeszcze miałem na sercu owe piętnaście dni aresztu, którem wysiedział w Berlinie, jednakże zaręczam wam, żem na widok ten zapomniał o wszelkiéj zawziętości. Milijon kartaczów! Kapitan mój był doświadczonym, walecznym żołniérzem, a śmierć jego byłaby dla całéj kompanii nieodzyskaną stratą; dla tego zbliżywszy się do niego rzekłem: »Do stu granatów, kapitanie! czy chcesz zagrzebać się w tym śniegu? zbierz siły i pójdź ze mną!« Kapitan zamiast odpowiedzi pokazał mi oziębłe pokaleczone i krwią zbroczone swoje nogi. »Kapitanie,« odezwałem się znowu, »dopokąd tylko serce w piersiach bije, dotąd nie należy tracić nadziei życia, a waleczny żołniérz z pod chorągwi cesarza nie powinien tak umiérać, jak umiéra kobiéta!« I na to nic nie odrzekł kapitan, lecz usiłował dźwignąć się z ziemi. Wziąwszy go pod ramiona, postawiłem na nogach. Poczém oparł się na mnie, i tym sposobem szliśmy obadwaj zdala i zwolna za kolumną; ale zaledwo uszedł kilka kroków, już znowu padł na ziemię i mnie za sobą pociągnął. »Riquet!« rzekł do mnie, »ja nie mam sił iść daléj, a kolumna już się dostała na gościniec. Zostaw mnie i spiesz za nią. Jednakże słuchaj: Jeżeli kiedykolwiek do Francyi powrócisz, a przechodzić będziesz przez departament Iséry, zatrzymaj się we włości Voreppe o trzy mile od Grenobli; zapytaj się tam o matkę Merlin, o poczciwą ośmdziesiątletnią staruszkę... jestto moja matka. Jeżeli jeszcze nie umarła, uściskaj ją ode mnie i powiedz jéj... powiedz jéj, że ostatniém westchnieniem jéj syna, ona była, i cesarz!... potém doręczysz jéj ten krzyż i tę sakiewkę!« Słowa te wzruszyły mnie do żywego i mimowolnie potoczyły się po mojém licu łzy gorące, które na moich wąsach natychmiast zamarzły.

»Do milijon kartaczów! kapitanie,« odrzekłem, »to być nie może, ja ciebie nie opuszczę... albo cię ocalę, albo razem z tobą zginę!«

»Riquet, waleczny mój towarzyszu, słuchaj mnie: prawem karności wojskowéj rozkazuję ci, abyś mnie opuścił, a sam pospieszył za kolumną.« Nie odrzekłszy mu ani słowa, wziąłem go na ramiona. Możecie sobie pomyślić, że z tym pomnożonym ładunkiem nie mógłem dotrzymać kroku moim towarzyszom. Jakoż za kolumną dobrze ztyłu pozostałem. Ale do milijon kartaczów! cóż się dzieje; prawie téj saméj chwili postrzegłem na wystrzał z armaty hurmę Kozaków, którzy z najeżonemi pikami, wrzeszcząc jak opętani swoje przeklęte *hura*, z wielkim czwałem ku nam zmierzali. Mój kapitan był prawie już nieżywy, ani widział, ani słyszał, co nam zgubą groziło, był już nieczułym na wszelkie niebezpieczeństwo. Co do mnie, milijon kartaczów! postanowiwszy sobie stale nie opuszczać go na żaden sposób, musiałem pójść po rozum do głowy: wziąłem go w pół, rozciągnąłem na ziemi i przysypałem śniegiem; sam zaś wsunąłem się pomiędzy kilkunastu poległych moich towarzyszy i podobnież w śnieg cały się zaryłem, zostawiwszy sobie tylko wolne oczy, abym widział, co się dziać będzie. W krótkim czasie w toż samo miejsce nadciąga tucza Kozaków, wywija nieustannie dzidami, wrzeszczy z całego gardła, i tratuje końmi porozcielane poległych ciała. Milijon kartaczów! trzeba wam wiedzieć, moje dzieci, że konie kozackie sąto prawdziwe dzikie bestyje i nie mają ani delikatności, ani czucia koni francuzkich; harcują z taką obojętnością po głowach ludzkich, jakbyto były kamienie na gościńcu. Do milijon kartaczy! pomyślałem sobie, nie życzyłbym sobie, aby mnie który z nich kopytem po głowie pogłaskał. Aż oto téj saméj chwili, gdy ta myśl przez moję głowę przemknęła, jedna z tych szkap

przeklętych opiéra spokojnie swoję lekkie kopyto na mojém lewém ramieniu i łamie je, nito kij kruchy. Milijon kartaczów! razem z ramieniem trzasło mi w sercu i w głowie, a jednak ani drgnąłem! bom wiedział, co mię czeka. Sciąłem zęby i spociłem się! Jakkolwiek byłem już pokaleczonym, przecież chęć życia brała górę nad wszelką boleścią. Nareszcie Kozacy, nie znalazłszy dla siebie żadnego łupu na tym cmentarzu, rozsypali się w różnych kierunkach; jużem chciał z śniegu wysunąć głowę, gdy oto widzę, że się jeden z nich jeszcze pozostał, i zsiadłszy z konia, z największą oziębłością ciało oficéra obdziérać zaczął. Milijon kartaczów! możecie sobie wyobrazić, że chociaż mnie mocno bolało złamane ramię, jednakże jeszcze mocniéj bolał mię ten szkaradny uczynek. Jakoż nie myśląc długo, wyciągam zdrową rękę, biorę zcicha za karabin i nabijam go dla przezorności; lecz to posłyszał Kozak, obrócił się z niespokojnością, nadstawił uszu, obszedł trzy lub cztéry razy miejsce, na którém zostawał, nareszcie wróciwszy, usiadł i zaczął znowu obdziérać. Dopóki Kozak przegląd czynił i kołował, nie ruszyłem się, jak ów żołniérz na podsłuchu, ale skoro opłonął z przestrachu, któregom nabijaniem karabinu mu napędził, i wziął się znowu do drapieżnéj roboty, wtedy i ja ruszyłem się z miejsca. Wydobywszy się raczkiem z pomiędzy trupów, ukląkłem; a że na ramieniu, które się jak chorągiewka na proporcu chwiało, na żaden sposób nie mógłem oprzéć mojéj broni, oparłem ją więc na czole jednego trupa, i wymierzywszy, wypaliłem. Kozak mój wydaje krzyk okropny, podnosi się, i wyciągnąwszy z boleści w górę ramiona, pada na ziemię. Potarzał się trochę i ucichł. Widok ten, moi bracia, powrócił mi całą odwagę. Wychodzę z méj kryjówki i pospieszam wydobyć mojego kapitana z śnieżnego grobu. Odgrzebawszy go, przykładam dłoń do serca, i poznaję, że już zaledwo dyszy, ale jeszcze nie umarł. Zapytywałem go kilkakrotnie, lecz żadnéj nie otrzymałem odpowiedzi. Nareszcie z ciężką biedą otworzył oczy i ściskając mnie za rękę, rzekł głosem umiérającym: »Opuść mnie!« Ale do milijon kartaczów! jam tego nie uczynił, i owszém, prawą ręką, w któréj jeszcze miałem cokolwiek władzy, zebrawszy wszystkie swoje siły w kupę, zaciągnąłem go na oddalony wzgórek, na którym, obwinąwszy go moim płaszczem, posadziłem go obok siebie. W téj chwili zaczęło się już zmierzchać, a śnieg padał bez ustanku. Włóczęgi odwodowego wojska już zniknęły zupełnie. Sam tylko świst kul dochodził jeszcze zdala do moich uszu, a tuż koło mnie słyszałem okropne wycie wilków pożérających trupy, i żałosne jęki rannych lub umiérających. Myślałem sobie, że to będzie niezawodnie nasz ostatni nocleg. Do milijon kartaczów, cóż było robić! Nie wiém, jakie myśli snuły się wtedy po mojéj głowie, lecz przypomniałem sobie paciérz, którego mnie proboszcz naszéj włości, gdym jeszcze był żakiem, nauczył. Ukląknąwszy, zacząłem go odmawiać. Paciérz ten sprawił mi ulgę i wlał nadzieję do mego serca. W podobnéj przygodzie, moi bracia, to samo lekarstwo i wam zalecam! Powstawszy od paciérza, byłem już spokojniejszym. Poczém usiadłem znowu przy kapitanie i zdałem się na wolą Bożą. Tym sposobem siedziałem dłużéj niż przez kwadrans; nareszcie zacząłem już na piękne zamarzać, gdy oto nagle ujrzałem zbliżający się ku nam orszak oficérów, o których z początku myślałem, że są Rossyjanie, ale po mowie poznałem wkrótce, że to byli Francuzi! Za nim jeszcze do nich słowo wyrzekłem, już jeden z nich, nizkiego wzrostu, obwinięty futrem, postrzegłszy nas, zbliżył się szybkim krokiem ku mnie, i uderzywszy mnie po ramieniu, rzekł:

»A ty co tu robisz? Dla czegoż nie pospieszasz za wojskiem?«

»Oto jest powód, który mnie tu zatrzymał, mój jenerale;« odrzekłem, wskazując mu palcem na mojego kapitana.

»Najjaśniejszy Panie, żołniérz ten mówi prawdę,« odezwał się jeden z oficérów, który się wpatrzył we mnie. »Poznaję go; jestto ten sam, którego przed dwiema godzinami widziałem, jak w tyle kolumny dźwigał na barkach swojego kapitana.«

Cesarz, gdyżto był on sam, usłyszawszy to, wypatrzył się na mnie tak przenikliwém spojrzeniem, że mi na zawsze w pamięci zostanie, a potém rzekł: »Dobryś nie tylko żołniérz, ale i człowiek! Godzien jesteś krzyża! Oto go masz!« To rzekłszy zdjął krzyż, który zdobił piers jego i dał mi go swoją własną ręką!

Ja stanąłem jak wryty i zbladłem jak posąg marmurowy; drżącą ręką wziąłem krzyż i ucałowawszy go, rzekłem: »Dzięki ci cesarzu!«

Do milijon kartaczów! W téj chwili nie czułem już ni zimna, ni głodu; nawet pomimo bolu zdawało się mi, że moja ręka jak najmocniéj przymocowaną jest do ramienia.

»Davoust!« rzekł cesarz, obracając się do swego jenerała, »każ umieścić tego żołniérza wraz z jego kapitanem na moich furgonach. Bądź zdrów poczciwcze, wkrótce się zobaczymy!

W godzinę poźniéj dostałem się z mym kapitanem do polowego szpitalu.«

To rzekszy umilkł stary gaduła i powiódł wzrok surowy po całém kole zdziwionych swych słuchaczy, jak gdyby chcąc wyczytać w ich oczach, jakie na nich sprawił wrażenie. »A cóż się stało z kapitanem? A gdzież jest krzyż?« zapytali wszyscy za jednym razem.

»Mój były kapitan jest teraz pułkownikiem; a co się dotyczé mego orderu, oto jest wstążka. Moi bracia! Wstążkę noszę na sukni, a co do krzyża — milijon kartaczów! krzyż Napoleoński nie nosi się tylko tu — na sercu!«

To rzekłszy stary Riquet rozpiął swój mundur, roztworzył koszulę i pokazał nam swoję drogą relikwię, ukrytą najstaranniéj w małym czarnym, jedwabnym woreczku, na szyi zawieszonym.

Na to wszyscy obecni z wielkiém uszanowaniem odkryli głowy. W téj chwili podoficér, który był zkazał Bernarda na dwa dni aresztu, wystąpił i rzekł: »Berdardzie, proszę cię, daj mi fajkę tytoniu!« Ten chwycił co żywo za kabżuch i z największą udzielił mu go grzecznością.

»A cóż, rekrucie,« rzekł mu do ucha stary Riquet, »nie mówiłżem tobie, iż żołniérz francuzki nie jest zawziętym.«

»Fajki tytoniu odmawiać nie należy,« odrzekł młody żołniérz nieco zawstydzony.

»Słuchaj mię Bernardzie, i miéj w pamięci tę naukę: żołniérz, który w czasie pokoju udzieli fajki tytoniu oficérowi, który go ukarał, podzieli się z nim swoim chlebem w czasie wojny, a nawet dla ocalenia go, swego życia nie pożałuje! Jamto uczynił, i ty uczynisz to samo rekrucie, skoro nadejdzie to wielkie nieszczęście. Oto nauka z mojéj powieści.«

LUDWIK OSIŃSKI.

Dnia 27. listopada zszedł z tego świata (jak donosiliśmy w Gazecie naszéj) Ludwik Osiński, referendarz w radzie stanu królestwa, członek rady wychowania, członek dyrekcyi teatrów, znakomity poeta i mowca, zasłużony profesor literatury w b. uniw. warsz., ozdobiony od Cesarza Alexandra orderem Śgo Stanisława kl. 3. i znakiem nieskazitelnéj służby, a od Cesarza Mikołaja orderem ś. Anny kl. 2. Urodził się r. 1775 w Podlaskiém. Odbywszy pierwsze nauki w Łomży, w szkołach pijarskich, sposobił się w latach młodzieńczych do stanu nauczycielskiego; wypadki i przemiany krajowe odwróciły go od tego zawodu. Za rządu pruskiego, w r. 1799, wydał pierwsze próby poetycznych prac swoich, a między rokiem 1801 i rokiem 1804 tłumaczenie *Alzyry*, *Cyda* i *Horacyjuszów*, od razu ugruntowało sławę Osińskiego i postawiło go w rzędzie najznakomitszych ówczesnych pisarzy. Wielu pamięta jeszcze ten zapał, z którym publiczność zajęta wzniosłemi myślami Kornela i pięknym wierszem, jakiego nie słyszała jeszcze na scenie, podniosła na rękach swoich znakomitego tłumacza i złożyła mu hołd wdzięczności i uwielbienia. W owéj epoce ścisła przyjaźń łączyła Osińskiego z Franciszkiem Dmochowskim, tłumaczem *Iliady*, który starszy od niego o lat 13, był mistrzem i przewodnikiem młodego poety. W kilka lat potém Osiński wymownym głosem uczcił pamiątkę i zasługi zmarłego przyjaciela. Za utworzeniem Księztwa Warszawskiego, Osiński powołany do służby publicznéj, objął urząd sekretarza jen. w komisyi sprawiedliwości, a następnie pisarza sądu kasacyjnego. W owym czasie przekład *Cynny*, trajedyi Kornela, dramat liryczny *Andromeda*, kilka wzniosłych poezyj, a szczególniéj *Oda o Koperniku*, *Mowa* miana w towarzystwie przyjaciół nauk na uczczenie pamiątki Fr. Dmochowskiego, tłumacza *Iliady*, *Obrona* pułkownika Siemianowskiego, cztéry tomy *Pamiętnika Warsz.* zbogaciły naszę literaturę i pomnożyły zasługi Osińskiego. W tymże czasie pełnił obowiązki sekretarza był. towarzystwa przyjaciół nauk. Upodobanie w poezyi i sztukach pięknych, skłoniło go, iż opuścił na czas niejaki służbę publiczną i objął przedsiębierstwo warszawskiego teatru, po zasłużonym i gorliwym Bogusławskim. W tym nowym zawodzie więcéj zważał Osiński na podniesienie i rozwinięcie sztuki dramatycznéj, niżeli na własne korzyści. Wystawienie w pięknych przekładach wielu znakomitych dzieł dramatycznych z obcych języków, tudzież oryginalnych trajedyj, komedyj i oper, odznaczyło epokę przedsiębierstwa Osińskiego, połączoną z mnóstwem przykrości, będących skutkiem wysileń, częstokroć nieodpowiednych i niewdzięcznych. W tymże czasie w organizującym się b. uniwersytecie warsz. zdanie komisyi oświecenia, zgodne z życzeniem całéj publiczności, powoływało Osińskiego na profesora literatury; mimo nawału trosk i zatrudnień, przyjął to miejsce i zajmował je przez lat 12, zacząwszy od r. 1818. Natłok słuchaczów, który od piérwszéj prelekcyi zapełnił najobszérniejszą salę gmachu byłego uniwersytetu, nie zmniejszył się aż do ostatniéj; kursów Osińskiego słuchano zawsze

z upodobaniem i zajęciem. Osiński posiadał talent rzadki bardzo, a najpotrzebniejszy dla profesorów przywiązania słuchaczy do przedmiotu, który im wykłada, obudzenia w nich współczucia i zapału. Harmonijny i słodki głos jego dodawał nowego uroku pięknym myślom i wymownym okresom. O ile taki nauczyciel mógł podniecić zamiłowanie w literaturze, o ile zachęcić młodych pisarzy do próbowania sił własnych, nad tém rozwodzić się nie potrzeba. Obok katedry literatury Osiński był dziekanem wydziału nauk i sztuk pięknych, a jako członek deputacyi, wyznaczonéj do ustalenia *pisowni* naszéj, gorliwie przyłożył się do ukończenia tak ważnéj i użytecznéj pracy. Na kilka lat przed zgonem Osiński mianowany został referendarzem w radzie stanu i miał sposobność użyć wyższych zdatności swoich dla publicznego dobra. W pożyciu społeczném Osiński niezmiernie był przyjemnym i zajmującym: dowcip, wesołość, żartobliwość, niezrównany dar opowiadania, czyniły go duszą towarzystw. Owto przemioty, ów wzniosły talent poety i mowcy, jednały mu serca licznych wielbicieli i przyjaciół. Przez zgon jego zbyt wczesny jeszcze, bo dopiéro wstępować zaczął w piérwsze lata podeszłego wieku, kraj, literatura i towarzystwo ciężką i bolesną stratę poniosły! Choroba jego trwała przez 5 miesięcy. *F. S. D.*

(Z. Kur. War.)

Z Warszawy. *Pierwiosnek,* Noworocznik na rok 1839, obejmujący pisma samych dam, redakcyi Pauliny K* już wyszedł na widok publiczny. Z szczególném zajęciem publiczność przyjęła zeszłego roku książkę, pod tymże tytułem, i przez tęż redaktorkę wydaną; równie i powieść téjże autorki, pod tytułem: *Pamiętniki młodéj siéroty,* przed kilką tygodniami wydrukowana, znalazła bardzo znaczną ilość czytelników, którzy zalety utworu tego ocenić potrafili. I teraz noworocznik *Pierwiosnek* odznacza się wyborem artykułów, które, tak dla ogółu publiczności, jak przede wszystkiém dla dam obojętnemi być nie mogą. Książka ta obejmuje pisma dam już znanych w literaturze i nowo odkrywających się literatek, które wiele okazują zdatności i wykształcenia. W prozie odznaczają się, prócz redaktorki Pauliny K*, Alina Sielska, a osobliwie E. Ziemęcka, także Paulina S., Róża Magierowska, Emilija Grabowska i inne. W poezyi znowu piérwsze trzyma miejsce Józefa P., przy niéj Paulina K*, J. Rodziszewska, Prowidencyja z Zawiszów Mierzyńska, Kazimiera Radecka, Kamilla Kossowska, Narcyza Ż. i inne. Najznakomitsze artykuły są, prócz wyjątków z podroży: »Ludwika z Czołnowa,« i »Iłża,« powieść, osnowana na podaniu gminném. Najpiękniejsze poezyje: »Tutaj jest szczeście prawdziwe,« »Anioł pociechy,« »Pierwiosnek,« i wyborny przekład wstępu z znanego poematu Lamartina: »Upadek anioła.« (K. W.)

Z Düsseldorfu. Chwalą tu bardzo nowe dzieła malarskie pana Adolfa Łasińskiego, przedstawiające krajobrazy w zimie.

Grzegorz XVI. Papież. W dziele, które niedawno wydał uczony jenerał-prokurator francuzkiego zakonu Trapistow, Géramb, znajdujemy między innemi także następujące, ciekawe szczegóły o obecnie panującym papieżu. Grzegorz XVI. ma lat 73, chociaż zaledwo więcej jak 60 lat mieć się zdaje; jest mocno zbudowanym i ma nadzieję, że jeszcze niejeden rok dla pomyślności kościoła żyć będzie. Jest on uprzejmym nad wszelkie opisanie, łagodność jego, i że tak rzekę, wesołość zmniejsza wrażenie, jakiego każdy prawowierny na widok głowy katolickiego chrześcijaństwa przez samę już cześć należną doznaje. Będąc głębokim teologiem, odznaczającym się uczonym, i mężem mającym smak wyborny, stara się równie o świetność religii, jak kunsztów i umiejętności. Chrześcijanin znajduje w nim ojca, artysta opiekuna dla siebie. Cnoty, które zdają się na pozór być sobie najprzeciwniejsze, są w nim do tego stopnia zjednoczone, iż z największą obojętnością z jednéj do drugiéj przechodzi; umie on łagodnie pieścić się z dziecięciem, a nawet i w téjże saméj chwili z największą powagą wystąpić naprzeciw najzaciętszemu przeciwnikowi prawdy. Grzegorz XVI. przed obraniem swojém należał do zakonu Kamedułów, których ostry sposób życia po największéj części zatrzymał. Ten, którego czcigodne skronie troista zdobi korona, spoczywa obok spaniałego pawilonu, na skromném łożu, w którém się tylko siennik znajduje. Sposób życia jego podobny jest do sposobu życia ubogiego obywatela. Powiadają, iż podczas jego wstąpienia na tron, gdy nadworny ochmistrz zapytał go, ile potraw chce mieć na stole? Ojciec ś. miał odpowiedzieć: »Sądzisz, iż z moim stanem zmieniły się także potrzeby mego pożywienia?« Jedna z jego krewnych, któréj córka za mąż iść miała, życzyła sobie przyjechać do Rzymu, aby miała ten zaszczyt, że papież temu związkowi małżeńskiemu pobłogosławił. »Ma ona proboszcza w swojéj parafii, i czegoż chce więcéj?« odrzekł Papież. Posada wielkiego mistrza zakonu kawalerów maltańskich była opróżnioną. Zgromadzenie udało się *in corpore* do Jego Świątobliwości z prośbą, by tę przeszło 5000 rzymskich skudów wynoszącą posadę dla jednego z swoich krewnych (przytém wymieniono mu jego siostrzeńca) przeznaczył. »Z ukontentowaniem przyjmuję tę posadę,« odrzekł Papież, »ało dla zacnego kardynała Odeschalchi.« Jakkolwiek Grzegorz XVI. znany jest z swojéj szczodrobliwości, jednakże dla krewnych swoich nie okazuje on z tego względu najmniejszego piérwszeństwa; albowiem familiją jego jest lud, dziećmi jego ubodzy, a braćmi jego chrześcijanie. Szczupła pensyja, którą z publicznego pobiera skarbu, nie wpływa nigdy do jego kosy, bo za nim się jeszcze do niéj dostanie, już pomiędzy ubogich jest rozdaną.

Wynalazek p. Tessier. Dzienniki bruxelskie nadmieniają o sławnych, żeglarskich widowiskach, które na stawie Esterbeek w Bruxeli wyprawiono. Niejaki pan Tessier, jako Neptun przebrany, trzymając trójząb w ręku, za pomocą przemyślnego przyrządzenia, prosto stojąc chodził po wodzie i przyszedłszy na środek stawu, stał tamże przez dwadzieścia minut wcale się nie ruszając, którato rzecz wszystkich obecnych mocno zdziwiła, gdyż się zdawało, iż już przez sam ciężar ciała zatonąć był powinien. Poźniej ukazało się także dziesięciu uzbrojonych lekkiemi strzelby żołniérzy, którzy się za pomocą aparatu, przymocowanego do pasa, na wodzie kołysali. Czynili oni rozmaite obroty, i poruszając się w rozmaitych i dowolnych kierunkach, cały popis wojskowy przedstawiali. Podczas nabijania kolba i zamek były w wodzie, a jednak strzelby wypaliły z wielkiém podziwieniem widzów. Nakoniec zatoczono działa na kołach, które po części były w wodzie; dwaj żołniérze, czyniąc podobne poruszenia jak i pierwsi, nabili je i kilkakrotnie wystrzelili.

Ostrzeżenie. Dziennik *Bohemija* zawiéra z Pragi co następuje: Dnia 14. listopada o godzinie 8méj wieczorem pewien porządnie ubrany mężczyzna, przyszedłszy do pana Porcyjusza udał, że jest służącym przy-

słanym od swego pana, który sobie życzy, aby go pan Porcyjusz z swoim *psychometrem* odwidził. Pan Porcyjusz, któremu nie raz się wydarzało, iż przez służących z machiną swoją do znakomitych osób był zaproszonym, uwierzył temu obłudnikowi, który prócz tego dodał, iż przed oberżą »Pod czarnym koniem« powóz na nich czeka; tym sposobem obadwaj udali się na przeznaczone miejsce. Gdy przyszli przed oberżę nie zastali powozu, a nieznajomy podjął się nieść *psychometr*, na co pan Porcyjusz, będąc spiesznym krokiem nieco znużony, jak najchętniéj zezwolił. Poczém nieznajomy, oprowadziwszy go jeszcze po niektórych pokątnych ulicach, nagle zawołał: »Otóż powóz nadjeżdża!« Pan Porcyjusz spojrzał za siebie; jakoż w saméj rzeczy w téj chwili nadjechała kareta — lecz ponieważ takowa bardzo szybko koło nich przemknęła, więc pan Porcyjusz znowu się do służącego obrócił, ale już ani służącego, ani machiny nie było. Wyżnadmienione pismo daje tym końcem wypadek ten do publicznéj wiadomości i uprasza o umieszczenie tegoż we wszystkich dziennikach, aby złodziej imieniem pana Porcyjusza z nadmienionéj machiny, na któréj wynalezienie tenże tyle pracy, czasu i wydatków poświęcił, żadnéj nie odniósł korzyści.

Anegdota. Dnia jednego był Hieronim Bonaparte zupełnie bez pieniędzy, potrzebował koniecznie dwadzieścia pięć luidorów; a chociaż jenerał Murat, który go bardzo kochał, nie raz mu wygadzał w potrzebie; jednak mu tą razą odmówić musiał. Cóż tu począć? Do kogo się udać? Do swoich braci? Ci byli oddaleni. Od Napoleona nie śmiał żądać, bo już za wiele nadużył jego łaski; Józef i Ludwik dowodzili pułkami w dalekich stronach, a Lucyjan jako ambasador był w Lizbonie albo Madrycie. Matka nie chciała wspierać młodego marnotrawcę. W tém wpadło mu na myśl odwidzić swego wuja Fesch, który właśnie podówczas kardynałem został. Przychodzi do jego pałacu, zastaje liczne zgromadzenie i doznaje uprzejmego przyjęcia. Zapraszają go do stołu, poczém towarzystwo oddala się do wielkiéj sali na kawę. W téj chwili Hieronim postrzegłszy, że wuj do pobocznego udaje się pokoju, idzie za nim i prosi go, co już nie raz czynił, o tę kwotę, ale wuj tą razą na żaden sposób nie chciał się dać ubłagać. Wiadomo, iż kardynał ten był wielkim miłośnikiem obrazów, a pokój, w którym się obadwaj znajdowali, stanowił początek tego pięknego zbioru, który późniéj tak słynął. Hieronim widząc, że kardynał nie chce mu zaliczyć żądanej kwoty, zwraca się żywo i rzecze: »Któż ty jesteś, co śmiesz ze mnie się naigrawać? Natychmiast cię ukarzę!« To rzekłszy dobył szpady i wymierzył jéj ostrze w twarz pięknego starca (było to portret pędzla Van Dyka), któremu wykłuć chciał oczy. Wyobrazić sobie można przestrach kardynała w téj chwili, gdy najpiękniejsze malowidło swego zbioru w tak wielkiém niebezpieczeństwie ujrzał; z skwapliwością pochwycił Hieronima za rękę, ale ten na żaden sposób nie dał się uprosić, aż dopokąd mu dwudziestu pięciu luidorów nie wyliczył. Tym sposobem kardynał kapitulował, a Hieronim dopiął swego zamiaru.

Wartość gruntów w Anglii. Gazeta angielska *Standard* wyraża swe zadziwienie z powodu drogich gruntów w Anglii. Kawał ziemi w Brygbtonie, nawet jednego morga nie obejmujący, który przez właściciela niegdy za 350 funt. sztrl. był nabyty, trudnym jest teraz za 5000 funt. do nabycia. Za taki grunt 7000 f. s. żądają.

Węch dzikiego człowieka. Pewien Indyjanin z plemienia Ozagów przez swój nadzwyczajnie ostry węch zwraca obecnie w Bostonie wielką na siebie uwagę. Dał on dotychczas liczne dowody, iż co się dotycze węchu z najwprawniejszym psem w zawody iść może. I tak pewne towarzystwo, złożone z dwudziestu osób, ukryło w mieście i okolicach przyległych rozmaite przedmioty, a Indyjanin przyrzekł, że je wszystkie koleją jedne po drugich wynajdzie. Tym końcem obwąchawszy każdą pojedynczą osobę szedł śladem swego węchu, aż do ukrytego przedmiotu. Wypełnił on zupełnie wszystko, co tylko przyrzekł i zdziwił całe towarzystwo. Indyjanin ten w skutek zachęty odbywać będzie podróż po Ameryce północnéj, a późniéj także po Europie, dla uzyskania sobie przez swój nadzwyczajny zmysł powonienia niejakiego majątku. Ostrzegamy złodziei, aby się mieli na ostrożności, bo skoro się Indyjanin do nich przybliży, niezawodnie skradzioną rzecz odkryje.

Nosorożec. Angielski kapitan Alexander opowiada, iż nosorożcowi częstokroć pewien stróż towarzyszy, jest to ptak wielkości kawki, mający zielony grzbiet i błękitnego koloru skrzydła, który siedząc na rogu nosorożca o niebezpieczeństwie go ostrzega. Ptak ten żywi się owadami, które się w około tego zwierza snują. Strzelec polując na nosorożca, uważa troskliwie na poruszenia tego czuwającego ptaka. Jeżeli nosorożec tylko głową w dół i w górę powodzi, wtedy ptak zlatuje z rogu i na grzbiet mu siada, i zabawiwszy tam przez czas niejaki, znowu na róg powraca; lecz jeżeli ptak postrzeże jakie niebezpieczeństwo i nagle uleci, niechże wtedy strzelec ma się na baczności, nosorożec bowiem rzuca się natychmiast z zaciekłością w to samo miejsce, w którém gałązki się ruszyły.

Perfuma poezyjna. Perfuma przy toalecie tak kobiét jak i mężczyzn modnego świata gra ważną rolę. Pachnidło to ma wielkie podobieństwo z czytaniem książek dla rozrywki. Tylko delikatny, spirytusowy wyziew perfumy, podobnie jak woń poezyi wschodniéj, działa ożywiającym sposobem na fantazyję. Chemik Great w Londynie wynalazł perfumę, którę pod nazwiskiem *Zdrój Hipokreny*, w pięknych flakonikach przedaje. Skutki pachnącej wody téj są w saméj rzeczy czarodziejskie. Skoro wonne duchy wymkną się z kryształowego więzienia i ulotnemi skrzydły po pokoju się rozprzestrzenią, wtedy duch każdego obecnego zaczyna się zwolna w poezyjne unosić marzenia. Nikną mgły posępnego humoru, a świat okazuje się w różaném świetle. W téj chwili uniesienia, nadziemską potęgą wzruszone, budzą się twórcze duchy, nawet iskry imaginacyi wzmagają się w wielki płomień do tego stopnia, iż kto w zakresie poezyi jest miernym, za pomocą téj woni może się wznieść aż do szczytu Szyllera. A zatem bieżcie tam piękne duchy pod chorągiew Apolina wpisani; chemik Great za kilka złotych otworzy wam źródło Hipokreny!

Sprostowanie artykułu z Berlina, umieszczonego w N. 48. Rozmaitości, na str. 383, o operacyi pana Gräfe. Berlińska Gazeta prostuje wiadomość o szczęśliwéj operacyi odjęcia piersi pewnéj polskiéj damie przez tajnego radzcy Gräfe w następujący sposób: Odjęta, piętnaście funtów ważąca pierś okazała we dwadzieścia minut po operacyi tak żywy ruch muszkuł i pulsacyję krwiotoków, że kilku przytomnych lekarzy bez ściślejszego rozstrząśnienia, żywą istotę w nienaturalnéj nabrzmiałości znaleźć sądzili, i do przedwczesnego mniemania, że ona zaród dziecięcia, tak zwane *foetus* zawiera, spowodowanymi byli. Późniejszy przedsięwzięty anatomiczny rozbiór okazał, że ta chorowita pierś rozmaitemi nabrzmiałościami i pasożytnemi narostkami otoczona była, które oddzielném życiem swojém za pomocą galwanicznéj siły, po oddzieleniu od kadłuba, tak długo istniały. Dokładniejszego naukowego opisu tego rzadkiego zdarzenia tajny radzca Gräfe udzieli.

Redaktor Jan Nep Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.